

TADEUSZ KANNENBERG.

RENDES-VOUS.

I.

Stanisław pozostał sam na ganku, gdyż Zosia nagle go odbiegła.

Był to ich ostatni wieczór.

Znali się od dzieci. Zosia skończyła pensję i teraz zostaje na wsi — Stanisław skończył gimnazjum i jedzie na uniwersytet.

Z bawialnego pokoju doleciały tony mazurka chopinowskiego. Stanisław zerwał się i wpadł do bawialni.

— Zosieńko!

Zerwała się i rzuciła w otwarte ramiona swego Stacha.

Stali naprzeciw okna, przez które okragła twarz księżycy śmiała się do nich, ale jakoś tak niedyskretnie, że Zosia szybko zawołała: chodźmy stąd, jeszcze nas kto zobaczy!

— Będziesz moją Zosieńko?

— Będę Stasieńku!

Księżyc się śmiał.

— Już czas na mnie! Do widzenia na święta!

II.

— Cóż u dyaskal myślał Stanisław, jadąc wózkami na kolej. — Czy ten wieczór księżycowy? czy pożegnanie? czy może to pierwszy pocałunek? Ale coś mi jest!

I rzeczywiście popadł w dziwny stan zjawy. Raz po raz widział obraz Zosi, czuł jej obecność, w uszach jej głos. Intensywność tych wrażeń wzrastała z minuty na minutę pod wpływem samotności i monotonnej jazdy nocą przez głęboki las.

Powoli wrażenia słuchowe i myślowe zaczęły słabnąć kosztem coraz to wzmagających się odczuć obrazowych. Coś go zniewalało zamknąć oczy, a wówczas niemal dotykalnie widział swą Zosieńkę w różnych chwilach jej codziennych zajęć.

Wreszcie i te obrazy zmieniły swą barwę, wkraczając w świat fantazji.

— Mam gorączkę — leniwo myślał, usuwając się w głąb siedzenia. Ujrzał Zosię, jak się do snu układa — wyciągnął do niej ramiona...

— Panie, bo stacya — trza wysiadać!

III.

Godzina 12 ta w nocy. Pociąg zbliżał się do stacyi.

W ostatnim wagonie jechała samotna, młoda kobieta. Zdenerwowanie jej dochodziło do obłądnych niemal granic z przyczyny, zdawałoby się, nader błażej. Oto ostatni wagon był za luźnie skuplowany z resztą wozów tak, że w ruchu chwiały się i szarpały niemiłosiernie. A gdy się zważy, że linia kolejowa należała do bocznych i zbudowana była z krótkich dawnego typu szyn, łatwo pojąć, że wóz mógł urządzać podróżnym wcale miłą „piekielną jazdę”!

Pani Helena była pewną, że do stolicy nie dojedzie. Chciała usnąć — nie mogła; modliła się — nie pomagało; przechadzała się — na nic; płakała — jeszcze gorzej. Wreszcie przypomniała sobie, że wiezie mężowi flaszkę starego tokaju z piwnicy ojca. Otworzyła ją i sączyć po kropelce, doszła do stanu, w którym sobie rzekła: Wszystko mi jedno! Niezbyt jednak silne okazało się to postanowienie, skoro nowe szarpnięcie wagonu wjeżdżającego na stacyę, wytraciło ją z równowagi.

Pociąg stanął. Stanisław wszedł do wagonu. Radość pani Heleny nie miała granic. Wszak od dwóch godzin modliła się o jakiegokolwiek pasażera.

— Nie przeszkadzam?

— Ależ skądże? Owszem jest mi tak miło, że nawet nie umiem panu tego wyrazić...

Zaraz jednak przestraszyła się, czy nie powiedziała za wiele. Zasłoniła twarz gęsią woalką podróżną, czując, że krew napływa jej do głowy.

— Proszę przyćmić światło.

Nie uszło jej uwagi, że pasażer był młody i przystojny.

Stanisława ogarnęło pewne zażenowanie. Nie wiedział poprosić jak się zachować. Wybawiła go jednak z kłopotu pani Helena, która chcąc zagłuszyć zdenerwowanie, zaczęła beznadziejnie opowiadać skąd i dokąd jedzie.

— Więc zdążamy do jednego celu?
— Tak. Na miejscu będziemy w pół do piątej rano.

— Jeszcze ciemno?

— Ach wszystko mi jedno, byle się tylko ta jazda raz skończyła!

Rozmowa jednak, jak szybko się zaczęła, tak też i nagle urwała. Zmęczenie fizyczne ogarnęło oboje.

Pociąg dudniąc, wjechał na spłot szyn stacyjnych i nie zatrzymując się, pogonił dalej.

— Trzęsie trochę — półgłosem zamruczał Stanisław — przesiałę się.

— Nie, nie! Niech pan nie wstaje! Siadła obok. Przy najbliższym wstrząśnięciu wagonu chwyciła go za rękę. Czuli, że ręka drżała i że cała jej postać tuli się do niego. Nie śmiał się ruszyć. Siedział cicho. Chciał zdrzemnąć. Po chwili uczuł, że głowa kobiety schyliła się na jego ramię i usnęła. Stanisław zdrzemnął się też.

W drzemce zdawało mu się, że siedzi na ganku z Zosieńką i patrzy w księżyc. Otulił ją ramieniem i przycisnął mocno.

— Stasieńku, pocałuj Zosieńkę.

Stanisław nachylił się i zaczął całować ukochaną twarzyczkę. Nagle oprzytomniał i spostrzegł, że wycalował obcą kobietę, którą uspioną trzymał w objęciach. Nie zmienił jednak pozycji. Zamknął oczy i marzył dalej...

Wenecya — jadą gondolą po kanale Grande, patrzą na stare pałace, niebo lazuruwe i mętą wodę kanału. Wiem gondolą wjeżdża na schody kościoła. Silne uderzenie. Wylatują w wodę. — To pociąg stanął.

Stanisław siedział na podłodze wagonu, oboracz trzymając śpiącą towarzyszkę podróży. Nieprzytomny zerwał się, chwycił ją w pół i okrywając pocałunkami, krzychał: Więc żyjesz, żyjesz Zosieńko!

Helena ocknęła się, oprzytomniał i Stanisław. Stanęli naprzeciw siebie jak dwaj winowajcy. Pierwsza Helena zaśmiała się.

— To już jesteśmy na miejscu. Trzy godziny jazdy przespałam wyłącznie tylko dzięki panu. Dziękuję serdecznie.

— Czy mogę służyć?

— O nie — nie — nie trzeba! Proszę zostawić mnie samą. Czekałam na mnie. Jeszcze raz jak najserdeczniej dziękuję. Nie jestem w stanie wyrazić panu wdzięczności, jaką czuję dla pana.

— Czy mogę odwiedzić panią?

— Skądże? Chociaż nie, dobrze! Ale ja 3 go Maja 6 1 piętro na lewo imię Zosia, nazwiska nie powiem, dziś wieczorem... i znikła.

Zosiu, Zosieńko! Stanisław jeszcze nie oprzytomniał należycie...

— Panie, bo pociąg dalej nie idzie!

Stanisław wyskoczył na peron.

IV.

„Moja droga Zochol! Piszę do Ciebie, bo inaczej nie mogę. Nad ranem przyjechałam. Mąż nie chce mnie puścić. Jestem zmęczona i okrutnie zdenerwowana. Ach, bo pomyśl sobie tylko, pomyśl moja droga. Pociąg omal się nie wykołował i ja też! A było to tak...”

Widzisz więc sama, że nie mogłam inaczej. Nie wolno człowiekowi robić przykrości, skoro na nią nie zasłużył. To trudno. Zresztą ty tak lubisz szatynowi! Jesteś młodą wdową i jutro rano stąd wyleżdżasz na zabitych deskami wieś. No nie? Zatem przyjmiesz go, nieprawdaż? Tylko, na miły Bóg, nic przed moim mężem, moja droga, jedyńca!”

P. S. Nazwiska Twego nie wymieniałam, więc zdejm z drzwi wizytówkę.

„Droga Helenko! List Twój w wysokim stopniu mnie rozgniewał. Wobec tego nie przyjdę pożegnać się z Tobą. Przyjmę go zimno jak na to zasługuje. Nie rób mi nigdy więcej podobnej przykrości. Bądź zdrowa. Napiszę dopiero ze wsi. Twoja Zocha”.

V.

— Proszę pani, jakiś młody pan przyszedł.

— Prosić.

— ...Pani!

— Cóż tak oficjalnie. Wczoraj...

— Ach nie mówmy! Wstydzę się i dlatego pozwoliłem sobie przyjść by serdecznie panią przeprosić. Bylem nieprzytomny.

— Teraz ja powiem: nie mówmy o tem! Tak będzie najlepiej. Ale pan czegoś — zdaje mi się być zdziwiony?

— Głos pani?
— To... z wczorajszej podróży. Pan się rumieni?

— Bo mi się jeszcze nigdy w życiu coś podobnego nie zdarzyło.

— Doprawdy?

— Proszę mi wierzyć mama moja...

— Ha! ha! ha! Więc mam i synka?

— Pani śmieje się ze mnie!

— Już dob ze. Przecież do jadalni. Jutro wyleżdżam prawdopodobnie na bardzo długo. Nie chciałabym ostatniego wieczoru spędzić sama. Więc przyszedł o mi na myśl zaprosić pana. Z nieznajomym tak się miło gawędzi.

— Ja już nie jestem nieznajomym pani.

— W każdym razie nie jest pan z tego świata, w którym ja żyję, a jutro będziemy oboje już tak daleko od siebie!

— Więc dziś należy do nas.

— Tak. Czego pan nie pije? Proszę brać przykład ze mnie. To szampa!

— Nigdy nie piłem. Głowa mi się kręci...

— O! biedusiu! Jak panu na imię?

— Stanisław!

— Biedny Stasieńko... Co panu?

— Nic, nic... już przeszło. Tak do mnie mówiła...

Któż taki?

— Moja...

— No, no?

— Moja Zosieńka!

— Ślicznie! Ja też się tak nazywam. Więc Stasieńku, napij się jeszcze. Zmruż oczka, a Zosieńka będzie ci opowiadała, jak to tam tęskni za tobą.

— Jaka pani dobra!

— ...Nie dobry jesteś Stasieńku — zostawiłeś Zosieńkę samą daleką od ciebie. Dzień przeszedł mi jeszcze jako tako. Rano podlewałam kwiatki, byłam w ogrodzie na spacerze, czytałam książkę, którąś mi zostawił, grałam walcami...

— Mazurki Chopina!

— Tak, mazurki. O! i dzień przeszedł. Lecz teraz, gdy noc się zbliża czuję się strasznie samotna. Z łezką w oku rozplątałam warkocze... zrzucam sukienkę... spódnice... zdejmuję pantofelki... potem... półzanoszki...

— Co pani robi?

— Pójdź Stasieńku!

VI.

Chwiejnym krokiem, pogwiżdżając, szedł Stanisław przez ulicę miasta. Była godzina druga w nocy. Księżyc się śmiał.

Czegóż ty się śmiesz? Musiałem, nie było innej rady. Nie wiedziałem, że to tak...

VII.

Nazajutrz Stanisław był w rozpacz. Wy rzuty sumienia gnębiły go bez przerwy. Dokąd się zwrócić — kogo poradzić. Przypomniawszy sobie, że ma tu stryjka, którego od kilku lat nie widział. Nie zna wprawdzie stryjenki, gdyż stryj ożenił się ubiegłego roku, ale to nic nie znaczy. Trzeba coś począć, coś radzić.

Zapukał do mieszkania — była tylko stryjenka.

— Młodo mi powitać cię kuzynku — rzekła pani Helena, wychodząc na przywitanie Stanisława. — Mąż mój dużo dobrego o panu mi opowiadał.

— Stryjenka?

— Cóż kuzynek tak mi się przypatruje?

— Bo... bo nie wiem. Stryjenko poradził! Od dwu dni coś się ze mną dzieje strasznego!

— No cóż — siadaj — mów słucham.

— To było tak...

Pani Helena z poważną miną słuchała szczegółowych relacji rozpaczonego młodzieńca. Gdy skończył rzekła:

— Przedewszystkiem dziękuję ci za zaufanie. Dobrześ zrobił, żeś mi się szczerze wyświadał, chociaż widzisz mnie po raz pierwszy w życiu.

— Tak! Lecz stryjenka, to zawsze stryjenka!

— Masz rację — pocałowała go w czoło.

— Dam ci dobrą radę. Siadaj przy biurku i pisz:

„Na droższą Zosieńko! Tęsknię za Tobą. Ciągłe tylko o Tobie myślę. I teraz dopiero widzę, że bez ciebie żyć nie mogę. Do ciebie tylko należę i należeć będę na zawsze. Poza Tobą nie ma dla mnie na całym świecie żadnej kobiety. Jestem ci wierny myślą, słowem i uczynkiem...”

— Ależ to nieprawda! tego nie napisz!